

**ZORZA**





Jarosław Śmiechowicz

# ZORZA



Wolbórz 2018



---

Wydawca: Jarosław Śmiechowicz, tel. 505-348-022

Rysunki: Jarosław Śmiechowicz

Korekta: MKG

Copyright © by Jarosław Śmiechowicz

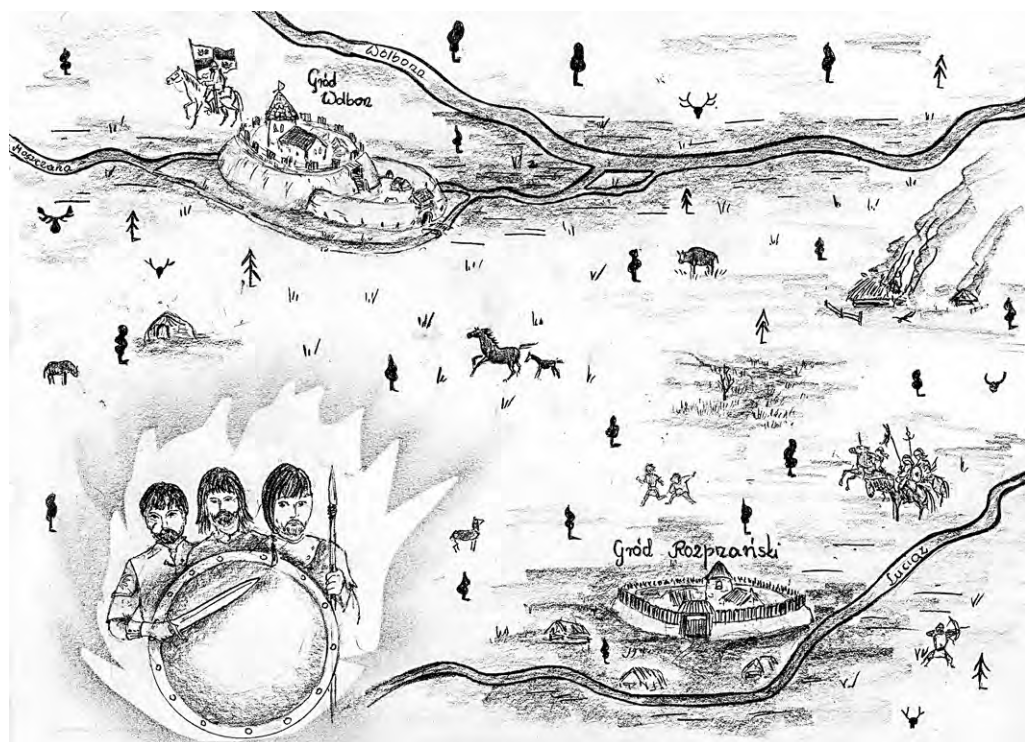
ISBN 978-83-942579-1-0

[www.jareksmiechowicz.pl](http://www.jareksmiechowicz.pl)

# Spis treści

<b>Rozdział I</b> – Rozprański gród .....	7
<b>Rozdział II</b> – Idzie wojna .....	18
<b>Rozdział III</b> – Jasyr .....	28
<b>Rozdział IV</b> – Dzieci żyją .....	37
<b>Rozdział V</b> – Dzikie pola .....	44
<b>Rozdział VI</b> – Wilki .....	52
<b>Rozdział VII</b> – Zniewolona .....	62
<b>Rozdział VIII</b> – Mongołowie odeszli .....	73
<b>Rozdział IX</b> – Dziecko wodza .....	83
<b>Rozdział X</b> – Chłopcy, zubry i zgliszcza .....	89
<b>Rozdział XI</b> – Czas dorosnąć .....	98
<b>Rozdział XII</b> – Listy Burtaja .....	107
<b>Rozdział XIII</b> – Powrót Ganbatara .....	119
<b>Rozdział XIV</b> – Polowanie na orła .....	127
<b>Rozdział XV</b> – Nogaj .....	136
<b>Rozdział XVI</b> – Skorpiony na ranę .....	149
<b>Rozdział XVII</b> – Litewscy wojowie .....	159
<b>Rozdział XVIII</b> – Śmierć Senugi .....	170
<b>Rozdział XIX</b> – Kolejna zima .....	176
<b>Rozdział XX</b> – Kolczyk .....	183
<b>Rozdział XXI</b> – Upadek Amida .....	195
<b>Rozdział XXII</b> – W kraju Lachów .....	210
<b>Rozdział XXIII</b> – Szaman chroni Zorzę .....	221
<b>Rozdział XXIV</b> – Kozioł i irbis .....	234
<b>Rozdział XXV</b> – W kraju Litwinów .....	243
<b>Rozdział XXVI</b> – Zorza znowu ucieka .....	252
<b>Rozdział XXVII</b> – Ganbatar nie żyje .....	262
<b>Rozdział XXVIII</b> – Życie toczy się dalej .....	272
<b>Rozdział XXIX</b> – Wojborz .....	281
<b>Rozdział XXX</b> – Wyprawa na Nippon .....	287
<b>Rozdział XXXI</b> – Powrót Salima .....	298
<b>Rozdział XXXII</b> – Tajna misja .....	307
<b>Rozdział XXXIII</b> – Salim układa plan .....	315
<b>Rozdział XXXIV</b> – Znowu idzie wojna .....	323
<b>Rozdział XXXV</b> – Na Zachód .....	330

<b>Rozdział XXXVI</b> – Naszyjnik jak kolczyk .....	340
<b>Rozdział XXXVII</b> – Co dalej, Salimie? .....	348
<b>Rozdział XXXVIII</b> – Odwrót .....	356
<b>Rozdział XXXIX</b> – Nareszcie razem .....	368
<b>Rozdział XL</b> – Mongołowie znowu niosą śmierć .....	375
<b>Rozdział XLI</b> – Odsiecz .....	385
<b>Rozdział XLII</b> – Na Rusi .....	393
<b>Rozdział XLIII</b> – Zasadzka .....	411



## Rozdział I – Rozprański gród

**P**

o kwitnących wrzosach nadeszła jesień. Liście spadły z drzew i przykryły kolorowym dywanem całą okolicę. Mieniły się czerwienią i żółcią, wypierając zieloną barwę. Z czasem wyschły, a promienie słońca i krople deszczu przemieniły je w szare fragmenty, które targane wiatrem w niedłuzie tańczyły pośród drzew i krzewów. Poderwane podmuchem niewidzialnej siły były ku niebu, by po chwili opaść, to wpadając w wody jezior i sadzawek, to płynąc w dal niesione prądem rzeki, by w końcu zniknąć gdzieś w jej głębinach. Inne z nich wypełniały wszelkie ziemne szczeliny i nierówności, użyźniając ją i tworząc schronienie dla drobnych gryzoni, larw i owadów.

Dni stawały się coraz krótsze, słońce traciło swoją moc i coraz trudniej mu było przeganiać poranne mgły i szadź. Z czasem ustąpiło przymrozkom. Porozrzucane, białe kości porosły mchy. Mrówki, wlekąc swoją zdobycz, zapuściły się pod szkieletem, by maszerując jedna za drugą, utworzyć żywą ścieżkę, prowadzącą w zarośla.

Pośród obmarzłych już traw i porostów wznosił się kopiec usypany z nieukończonego wielu gałązek, listków wysuszonej ściółki i fragmentów kory, utworzony przez niezliczoną armię pracowitych, a zarazem krwiożerczych stworzeń. Te, wędrując pośród roślin i penetrując leśne ostoje, natrafiwszy na szczątki jakiegось stworzenia, ciągnęły je do swego królestwa, do wnętrza kopca, do najgłębszych i najciemniejszych zakamarków. Poza jego mieszkańcami nie docierał tam nikt żywy. Jedynie korzenie drzew mogły bezkarnie wślizgnąć się i precisnąć przez ciemne korytarze.

Potężny, stary dąb, który pamiętał czasy pierwszych przodków, stał na skraju boru, otoczony młodszymi swoimi dziećmi, które w postaci żołądzi obficie rozrzucał każdej jesieni wokół swojego pnia. Było ich tak wiele, że stada dzików, wiewiórek, jeży i innych rozmaitych gryzoni stołowały się u jego podnóża przez wiele dni. Te z nasion, którym udało się uniknąć ostrych zębów, popychane przez wiatr, zmyte przez deszczowe strugi, bądź wcisnięte kopytami odyńców, czy jeleni w miękkie podłoże, grzęzły gdzieś w pobliżu. Ukryte w ziemi, przyciśnięte zwalonymi pniami czy schowane przez opadłe liście, z wiosną kiełkowały, by wystrzelić w górę, ku niebu nowym, z początku delikatnym kłęczem, które z czasem zamieniało się w potężny pień. Jednak żadne z drzew nie dorównywało potęgą swemu rodzicielowi. Pień u niego szeroki był tak bardzo, że ukryć za nim można było kilka koni, gałęzie rozłożyste, długie i grube zdawały się odganiać od drzewa wszystkich intruzów, tak by nikt nie zdołał dotknąć konara. Mimo to wielu mieszkańców boru upatrzyło sobie w nim swoje schronienie, obrało sobie tego potężnego kolosa, na dom. Często płochy ryś wdrapywał się na jedną z grubych

gałęzi, by z niej obserwować okolicę. Tu właśnie, gdzie kopytne wydeptały ścieżkę, zastawiał swoją zasadzkę na płochę i szybkie sarny. Powyżej dziupla, jedna z wielu, obszerna, że skryłaby człowieka, była domem dla rodziny żbików, które omijając rysią gałąź, czaiły się w mroku do czasu, aż on ustąpi. One, odgoniwszy inne zwierzęta, na własność to miejsce posiadały od wielu pokoleń. W norach, pod konarami drzew kryły się borsuki, pośród gałęzi ptaki różnych gatunków zakładały gniazda.

Świergot i zamieszanie z nastaniem tej pory roku nieco ucichły. Część ptactwa odleciała na południe, inne do zimy się szykowały. Wiewiórka, co jakiś czas przemykając po gałęziach, wlekąc w pyszczku jakiś orzech, kryła go w jednej z dziupli, za swoją spiżarnię ją mając.

Wysoko nad grodem, pośród grubych konarów tego dostojnego drzewa, gniazdo miało potężne ptaszysko. Król przestworzy i pan tej krainy.

Księżyc pokonał cały nieboskłon i zawisł nad czubkami drzew, na skraju królestwa boru, by po chwili zniknąć i ustąpić miejsca słońcu. Zbudził się nowy dzień. Z gniazda wyłonił się on. Najpierw poruszył skrzydłami, po czym wygiął łeb ku tyłowi. Z dzioba wyrwał się okrzyk. Niesiony w przestrzeń przez mroźne powietrze budził wszelkie życie, zwiastował polowanie. On poderwał się do lotu. Potężne szpony puściły z uścisku gałęzi. Jednocześnie zatrzepotał wielkimi skrzydłami i podrywając swe cielsko, wznosił się ku niebu, ponad borem. Gdy był już na tyle wysoko, by wykorzystać wietrzne korytarze, z rozpostartymi szeroko skrzydłami zdawał się przez chwilę tkwić nieruchomo, by w końcu poszybować nad swym królestwem. Jego charakterystyczny piskliwy głos znany był każdemu stworzeniu.





Głos orla zwiastował nowy dzień. On wzbił się ku niebu, tak wysoko, że ledwo był widoczny, a przenikliwym swym wzrokiem penetrował okolicę. Ptak zatoczył kilka kręgów nad rzeką. Zniżył swój lot nad rozlewiskami i bagnami, by ponownie wzbić się wysoko nad łąki, nie omijając ludzkich siedlisk.

Widoczny z wysoka pierścień utworzony ręką człowieka z domostwami i zagrodami wewnątrz, jak i na zewnątrz zdawał się jeszcze uspiomy i życia żadnego przy nim nie było widać. Jednak po chwili zza palisady niemrawo wypełzły jakieś postaci, które pomaszerowały w kierunku skutej już lodem rzece, która z wysoka zdawała się wic jak wstęga na wietrze. Orzeł ponownie krzyknął kilka razy, niczym na powitanie, a może, by podkreślić swe panowanie nad tą krainą i odleciał gdzieś poza horyzont.

Kobieta z dwojgiem dzieci stała właśnie na lodzie przy przeręblu, gdy głos ptaka zwrócił jej uwagę. Mróz panoszył się w tej krainie od wielu dni. Skuła rzekę i tafla była już twarda na tyle, że można było po niej swobodnie stąpać. Miejsce, w którym czerpano wodę, oznaczone było pionowymi balami, które wbite, w dno rzeki, zanim nastąpiły mrozy wyznaczały dostęp do wodnej spiżarni. Mężczyzna kilka razy uderzył młotem w cieńszy w tym miejscu, bo kruszony bez przerwy lód. Fragmenty przezroczystych drobin rozpięchły się po powierzchni, inne porwane prądem rzeki wpadły pod lód i popłynęły w nieznaną. Kiedy odsłonił się podwodny świat – w półmroku – widać było, szare denne rośliny, których liście i smukłe trawy unosiły się w wodzie i kołysały pod naporem rzecznej prądu. Ryby, zaciekawione tym, co dzieje się na lodzie, co chwila wyskakiwały ku światłu w przeręblu, by na widok człowieka natychmiast ukryć się gdzieś w zaroślach. Kobieta zbliżyła się do rwącej wody, zanurzyła w niej naczynie, by zaczerpnąć do drewnianego cebra zimną ciecz. Dzieci stały nieopodal i przyglądały się matce. Ona pochyliła się i zanurzone naczynie wyciągnęła wypełnione czystą, zimną wodą. Stawiając ceber na lodzie, poprawiła sobie długie, ciemne włosy, które opadły jej na twarz. Duże, ciemne oczy utkwiała w dzieciątkach. Jędrne usta wyszeptaly coś do nich, a malcy podreptali w kierunku mężczyzny, który stał nadal nieopodal i obserwował gromadkę. Człowiek pochylił się nad nimi i przytulił do piersi, a kiedy zbliżyła się niewiasta, zanurzył w cebrze dłoń i po nabraniu w nie wody zaczął pić. Ona delikatnym ruchem swych dłoni podbiła mu ręce, tak by zamoczył sobie również nos. Mężczyzna roześmiał się i chlapanął na nią resztkami wody, pozostałymi na rękach, tak, że krople niczym rosa pokryły jej policzki. Otarła dłońią twarz, która rozpromieniła się radośnie. Mężczyzna chwycił ceber i poprowadził dzieci w kierunku domostw.

Kiedy zeszli z lodu, na udeptaną ścieżkę dzieci poczuły się pewniej i zaczęły biegać, strącając szron z wysuszonych traw. Kobieta, bacznie je obserwując, zerkając na mężczyznę i co chwila przesyłała mu radosny uśmiech. On odwziewał się tym samym. Nagle spoważniał, zatrzymał się i wznosząc dłoń, rzucił do niewiasty:

– Zobacz!

Ona przeniosła wzrok w kierunku, jaki wskazał. Od wschodu ciemne punkty pokryły niebo i zaczęły się zbliżać w kierunku rzeki. Było ich coraz więcej i więcej. Gdy się zbliżyły na tyle, że można było dostrzec poszczególne kształty, wiadome było, że to ptactwo. Wkrótce dziesiątki, setki, a może tysiące wron skrzeczając, przelatywały nad głowami zdziwionych ludzi. Szum wielu skrzydeł rozrywających powietrze, skrzekot wydzierany z wielu dziobów i czarne kolory upierzenia tych ptaków budziły strach.

Na widok tak dużej ich ilości kobieta wzdrygnęła się, nigdy wcześniej nie widziała ich tak wiele. Rzeka ni to do siebie, ni to do swego towarzysza:



– Wrony, czarne jak piekło. Zdaje się, jakby przed czymś uciekały. To zły znak. Może idzie wojna?

Mężczyzna wzruszył ramionami i mruknął pod nosem:

– Eee tam, babskie gadanie. Zima idzie, to się ptactwo w kupy zbija.

Ona, wpatrując się w niebo podziurawione setkami czarnych ruchomych punktów przelatujących nad głową, odparła:

– Mówili starzy ludzie, że przed laty, zanim naszą krainę najechali dzicy, okrutni wrogowie, ptaki w popłochu uciekały na zachód. Po wszystkim wróciły, by niczym wilki zjadać poległych.

Mężczyzna zbliżył się i szepnął jej do ucha:

– Ja cię obronię, moja najdroższa, bądź spokojna.

Nie czekając końca tej powietrznej karawany, dalej poszli w milczeniu, by po chwili dotrzeć do celu. Tam, otoczony borem, stał stary, drewniany gród

wzniesiony na niewielkim wzgórku. Wiekowe, olbrzymie dęby, których korony wzbijały się w niebo, dzieliły losy grodu i strzegły okolicy od kilku pokoleń. Palisadę stanowiły pojedyncze, pionowe bale, głęboko wkopane w ziemię. Wrota, zawieszane na stalowych zawiasach, za dnia były otwarte. W nocy zaś zamykano je i ryglowano poprzecznym balem. Co prawda gród słabo był ufortyfikowany i jedynie przed dzikimi zwierzętami stanowił ochronę, jednak zapewniał względny spokój, a życie we wspólnocie dawało nadzieję na przetrwanie wszelkich niebezpieczeństw. Wewnątrz znajdowało się kilka budynków mieszkalnych oraz obory dla zwierząt i zagrody. Pośród nich jeden budynek był najokazalszy. Z modrzewiowego drewna zbudowany, na środku dziedzińca stał i wznosił się ponad pozostałe domostwa. Na kamiennym fundamencie mocno w ziemi osadzony, dominował nad pozostałymi. Dachy drewnianych konstrukcji były pokryte słomą i wikliną. Na nich rozpościerały się kolonie mchów i porostów, których najwięcej było od północy. W strzechach stada wróbli założyły swe gniazda. W lecie konkurowały z jaskółkami, ale o tej porze samodzielnie panowały w przestrzeni grodu. Thukły się ponad dachami, to wpadały do obór, to leciały w las, by powrócić w końcu do swoich kryjówek. Zwierzęta trzymane w oborach, za dnia wypędzano na pastwiska przed grodem, nocą, w obawie przed wilkami, wypędzano do zagród. Ciasnota sprawiła, że kilka domostw pobudowano na zewnątrz, poza palisadą. Gdy zbliżało się zagrożenie, ludzie kryli się w grodzie i tu przeczekiwali najgorsze. Człowiek, który z młotem w ręku zbliżał się do wrót, położył rękę na ramieniu kobiety i przywołał dzieci. Te małymi nóżkami szybko przebierały, by dotrzymać starszym kroku, a kiedy jedno z nich przewróciło się na ziemię, krzyknęło:

– Mamo, mamó, nie zostawiaj, bo mnie wilki pożą!

Drugi z dzieciaków, widząc krzywdę brata, próbował mu pomóc, ale nie miał jeszcze dość siły, by go podnieść. Kobieta podniosła więc dzieciątko, otrzepała jego ubranie z gałęzi i zmarzniętych traw, po czym tuląc do piersi, szepnęła:

– Nie zostawię cię nigdy ani wilkom, ani żadnemu innemu stworzeniu.

Mężczyzna postawił ceber na ziemi, rzucił młot i ukucnąwszy przy kobiecie, objął oboje dzieci oraz ich matkę swoimi silnymi rękoma. Wtulając się weń, dodał:

– Chodźmy, bo jak tak dalej będziemy marudzić, to ciemna noc nas zastanie i nie trafimy do swego domostwa, a tam ciepły komin i gorąca strawa już czekają.

Tak i dotarli do bramy, a kiedy ją minęli, znaleźli się na dziedzińcu. Mróz skuł ziemię i nie było już błota, więc suchymi stopami weszli do domu. Najbardziej okazały spośród wszystkich domów, należał do właściciela grodu. Kiedy poprzedniej zimy stary pan grodu zmarł syn jego jedyny, Miech, gród przejął. Ożenił się on z piękną Zorzą, która jako jedna z kilku córek sąsiada wychowana nieopodal była. Od dziecka mu się podobała i uganiał się za nią od dawna. On jej również się podobał, więc kiedy lat dorosłych doczekali, wnet się pobrali. Młodzi w modrzewiowym domu, bogatym w przedmioty z drewna i metalu

wykonane, pośród skór z grubego zwierza dni swoje spędzali. Owocem miłości było dwoje dzieci, o które śliczna żona troszczyła się i które pielęgnowała.

Malcy wpadli do izby, przycupnęli przy palenisku i nadstawiając ręce w kierunku płomieni, ogrzewali je. Ciotka owego mężczyzny, która gospodynią w domu była, szykowała strawę. Miech poszedł jeszcze dojrzeć zwierząt i zarządzić, by wrota zamknięto. Bo choć dzień dopiero wstał, to stada wron przysporzyły mu strachu. Zebrał mężczyzn, by tę sprawę omówić. Jedni przejęli się znacznie, inni, lekceważąc starych, przesądne ich ostrzeżenia ignorowali, bo żadnej podstawy nie było do tego, by się raptownie przestraszyć. Dyskusje trwały do południa i zakończyły się niczym. Ogólnie rzecz biorąc, należało wzmóc ostrożność i czekać, co los przyniesie. Miech powrócił do swoich, przyniósł drwa wysuszone pod wiklinowym dachem i dorzucił do ognia. Płomienie otoczyły suche, sosnowe łupki, iskry wzbily się ku górze, a napoczęte ogniem drwa zaczęły strzelać, tak głośno, że dźwięk rozchodził się po wszystkich izbach. Gdy mali synkowie posilili się świeżo upieczonym jelenim mięsem, dopadli ojca i zaczęli mu zadawać wiele pytań:

– Ojcze, a to smakowite mięso to skąd?

On uśmiechnął się i odparł:

– Z wieczora byłem z innymi moimi ludźmi na polowaniu w borze, tośmy tam jelenia wytropili. A że dał się zaskoczyć, poległ biedaczysko, by swoje rogi, skórę i mięso oddać.

Malcy słuchali, a ich umazane tłuszczem policzki zaokrągliły się od śmiechu. Młodszy o imieniu Laszko, niewiele jeszcze mówił, ale przytakiwał głową, na znak, że wszystko rozumie. Starszy Chwastko wciąż dopytywał:

– A ten jelen, ojcze, to był wielki, a nie bałeś się jego rogów?

Ojciec, nim odpowiedział, wstał i poszedł do drugiej izby. Dzieci spojrzały na matkę, ta uspokoiła synów, mówiąc słodkim, ciepłym i spokojnym głosem:

– Ojciec zaraz wróci, to dokończy wam tę opowieść.

Po chwili Miech wszedł do pomieszczenia, ciągnąc za sobą dwa potężne jelenie rogi. Były tak wielkie, że ledwo mieściły się w drzwiach. Podeszedł z nimi do drewnianego pnia, który służył za siedzisko. Położył rogi na podłodze i wskazując na nie palcem, powiedział:

– Oto rogi, symbol władzy! Oddał je nam jelen wraz ze swym życiem, kiedy moja strzała przeszła mu serce.

Dzieci otworzyły buzie z zachwytem. Potem próbowały podnieść rogi, ale dla młodszego z nich były zbyt ciężkie i skończyło się na przepychaniu po izbie. Zorza, nie tracąc czasu, zasiadła na kolanach swego ukochanego i objawszy go rękoma za szyję, szepnęła do ucha:

– Jestem z ciebie dumna. Kolejny raz przechytryłeś innych myśliwych i samego rogala.

On ucałował ją w usta i wpatrując się w oczy, odparł:

– Mięso podzieliłem na wszystkich, rogi są moje, zrobimy z nich groty i wieszaki, a może coś jeszcze.

– Co? – zapytała zaciekawiona kobieta.

Miech po chwili namysłu odparł:

– Zrobię z nich kolczyki dla moich synów, po jednym dla każdego.

Zorza uśmiechnęła się, a jej namiętne usta szepnęły mu do ucha:

– Ale to będzie jutro, dość czasu zbałamucileś na naradzie, idzie wieczór, więc dziś powinniśmy robić coś innego.

Mrugnęła do niego okiem, a on to zrozumiał, podniósł się i zawołał:

– Synowie moi, pójdźcie już spać, bo my z waszą matką mamy do pomówienia.



Dwa razy nie musiał powtarzać. Chłopcy porzucili rogi, pognali obmyć twarzyczki i wskoczyli na postanie. Tam, wtuliwszy się pod delikatne sarnie skóry, posłuchali kołysanki, którą im matkę zanuciła:

– *Uśnijcie synkowie mama Zorza wam opowie*

*O orle w obłokach co buja wysoko*

*Już wieczór ciemny zapada*

*Orzeł na swym gnieździe siada*

*I szum skrzydeł jego słyszę*

*Orzeł do snu was kołysze*

*Kiedy rano wstanie błądy*

*Orzeł wyleci na zwiady*

*Nad grodziskiem i nad rzeką  
By otoczyć was opieką  
Orzeł wzbija się wysoko  
Hen pod niebo ku obłokom  
I wy także się wzbijajcie  
I o Zorzy pamiętajcie  
Gdziekolwiek byście w życiu byli  
I o wolności marzyli  
Pamiętajcie moje dzieci  
Orzeł za wami poleci.*

Słyszac słowa z ust matki płynące, poddali się szybko, a sen ich utulił.

Miech zaryglował drzwi poprzecznym dębowym drągiem. Dorzucił jeszcze drwa do ognia. Potem wykorzystując moment nieuwagi swej ukochanej, zrzucił z siebie ubranie. W nieładzie spadło na podłogę. Przesunął nogą pod legowisko i wskoczył pod skóry. Dzieci już smacznie spały. Zorza, porzuciwszy swe domowe zajęcia, podeszła do legowiska. Widząc porozrzucane ubranie męża, chciała nań nakrzyczeć, ale on tylko na to czekał. Wskoczył natychmiast nagusienki spod skór i zaczął energicznie zbierać odzież i układać na ławie. W ten sposób chciał pokazać, jak bardzo się swej żony boi i jaki jest posłuszny. Biegając nago po izbie, zdawał się taki nieporadny. Rozbawił ją tym zachowaniem. Dziewczyna aż się zanosila ze śmiechu. Kiedy skończył, wskoczył ponownie pod skóry, mówiąc:

– Pokazałem ci, kochana, swoje wdzięki, teraz może ty zrobisz dla mnie jakiś pokaz.

Kobieta mruknęła niby zdziwiona taką propozycją:

– Od razu wiedziałam, że nie robisz tego za darmo! Cóż pokaz był przedni, to i nagroda będzie równie atrakcyjna.

Mówiąc te słowa, odwróciła się tyłem i powoli zaczęła zrzucać z siebie, najpierw skórzany serdak, potem lnianą koszulę, długą niemal do ziemi. Powoli odwiązywała troczki na piersiach. Włosy opadły jej na twarz, więc powolnym ruchem ręki odgarnęła je na bok. Kiedy troczki już były rozsuptane, koszula spadała na podłogę, odsłaniając nagie ciało. Miech wpatrywał się w swoją ukochaną, jakby widział ją pierwszy raz. W świetle ognia jej ciało mieniło się kolorami czerwieni. Widać było jędrne, okrągłe pośladki. Włosy swobodnie spadały na plecy. Spojrzała przez ramię na swojego Miecha. Uśmiechnęła się, a on wyciągnął do niej rękę. Wtedy odwróciła się, by stanąć przodem. Duże, jędrne piersi drgały delikatnie, a głęboki oddech uwypuklał je jeszcze bardziej. Gdy mężczyzna otworzył usta, ona szybko wskoczyła na posłanie. Wtuliła się w ciało rozochoconego mężczyzny, a on zaczął ją pieścić. Dotykał delikatnie piersi, potem zaczął je całować. Sutki stwardniały, a dotyk jego języka jedwabistej skóry podniecał oboje. Miech, przesunawszy swoje usta na brzuch, muskał po nim językiem wzdłuż i wszerz całując centymetr po centymetrze. Potem usta przesunął nieco niżej. Ona nie była

obojętna, całowała go po szyi, rękoma masując jego zarośnięty tors i ramiona. Dłoń przesunęła ku męskości, by wyzwolić w nim dziką namiętność. W końcu złączyli się w jedno i tak trwali niemal do rana. Ogień przygasł. W końcu nastała cisza.

Krzyk orła zbudził mieszkańców grodu ze snu. Zorza otworzyła oczy i przeciągnęła się na posłaniu. Miech był zbyt zmęczony po całonocnych figlach, by się tak od razu obudzić. Mruczał coś pod nosem i wiercił się z boku na bok. Kobieta leżała przez chwilę i z uśmiechem na ustach wspominała upojną noc. Najpierw drwiła z jego męskości, ale zaraz potem szybko zmieniła front i z podziwem dla swego kochanka szeptała o swych doznaniach. Kochała swego męża, a on nie był jej dłużny. Swoje uczucia okazywali w każdej chwili i w każdym niemal miejscu. Najskuteczniej jednak w łóżku. Spojrzała na niego i pomyślała, że jeśli dalej tak intensywnie kochać ją będzie, to pewnie dorobią się tuzina dzieci. Powtórny krzyk orła na dobre zbudził i Miecha. Podniósł głowę, ucałował ukochaną i rzekł zaspanym jeszcze głosem:

– Pewnie ptaszysko wróciło po nocnych lotach i teraz drze się, by wszyscy słyszeli, kto rządzi w koronach drzew.

Zorza odparła:

– Kiedyśmy z wieczora krzatali się przed chałupą, oba ptaki wyleciały gdzieś w stronę boru, ale wzbiły się tak wysoko, że wzrok mój już ich nie dosięgał. Pewnie były daleko i wiele widziały.

Miech pokiwał głową:

– Można powiedzieć, że wychowałem się z orłami.

Gniazdo od lat królowało nad grodem. Na potężnym dębowym drzewie zbudowały je ptaki w czasach, których nie pamiętali najstarsi mieszkańcy osady. Ich dziadowie i pradziadowie nie sięgali również pamięcią do początku panowania tych wspaniałych ptaków i można by sądzić, że były już w tej okolicy, zanim osiedli tu ludzie.

Kolejne dni upłynęły na codziennych obowiązkach. Ludzie robili zimowe zapasy. Ścinali i suszyli drzewo. Uszczelniali domy i obory. Wypasali zwierzęta na resztkach zmarzniętych traw i bardziej chodziło o przegonienie zwierząt, bo paszy na łąkach nie było już prawie wcale. Myśliwi polowali dość często, a zdobyte mięso owędzano, topiono w wosku i magazynowano w spiżarniach na zimę. Miech dni spędzał na polowaniach. Wieczory poświęcał rodzinie. Od kilku wieczorów skupił się oczywiście na kochaniu swej Zorzy, a w przerwach między miłosnymi uniesieniami obrabiał rogi i szykował dzieciom kolczyki. Obiecał sobie, że zrobi ich tyle, ile na każdym rogu jelenia było ostrych, kościanych gałęzi. A ponieważ był to dorodny samiec i wieniec na głowie miał okazały, bo po sześć gałęzi, mężczyzna miał wiele roboty. Postanowił zrobić wiele kolczyków, tyleż dzieci obiecał Zorzy. Więc dla każdego dziecka po jednym. W swej zaciętości do tej roboty zapominał chwilami o innych obowiązkach, a kiedy mu kobieta dogadywała, bronił się, mówiąc:

– Spójrz, kochanie, robię dla każdego naszego dziecka. Będzie ich dwanaście, więc przykładam się do roboty.

Ona trochę dla przekory odparła:

– A kto ci pomoże, może poprosić Skrzeka, swego przyjaciela – zachichotała – bo sam chyba nie dasz rady.

Wtedy Miech porzucił robotę i wrzasnął żartobliwie:

– Skrzek, to mój przyjaciel, towarzysz wypraw i polowań. Podzieliłbym się z nim niemal wszystkim, ale tobą się z nim nie podzielę. – Zaciągnął Zorzę na legowisko i zdzierając z niej odzież, syknął: – Zaraz ci pokażę swoje zdolności.

Nie zważając na jej wymówki, że dzieci może wejdą do izby, że może ktoś zobaczy, zanurzył się w miłosnym uniesieniu, a dziewczyna postękiwała podniecona, a zarazem zaskoczona takim obrotem sprawy. Dzieci na szczęście bawiły się w zagrodzie z królikami i nie miały pojęcia, że rodzice próbują dorobić im brata, bądź siostrę.

Po południu Zorza wyszła jak każdego dnia, do rzeki po wodę. Dzieci biegły za nią. Rzucaly w siebie szyszkami i drobnymi patykami. Kobieta spojrzała w stronę dębu. Wysoko w gnieździe stało ptaszysko. Drugie pewnie już wcześniej odleciało, może w poszukiwaniu zdobyczy, a może pilnując swych włości, wypatrywało zagrożenia? Dzieci biegały wkoło matki, nie oddalając się zbyt. Orzeł, który pozostał w gnieździe, w końcu wyprostował skrzydła, załopotał nimi i poderwał się do lotu. Początkowo spadając ku dołowi, zniżył swój lot, by przemknąć tuż nad grodem, potem poleciał w kierunku rzeki, by w końcu zbliżyć się na kilka kroków do baraszkujących dzieci. Był tuż nad nimi, gdy go dostrzegły. Maleństwa przestraszyły się i upadły na ziemię. Zaczęły płakać, ale ptak niewzruszony ich zawodzeniem potrzepotał wielkimi skrzydłami, które poruszając powietrze, zahuczały nad głowami malców. Poszybował ku przestworzom. Zorza dobiegła do dzieci i utuliła je do piersi, szepcząc im do uszu:

– Wstrętne ptaszysko chciało porwać moje maleństwa. – Chłopcy przestali zawodzić. Matka wspierała ich, mówiąc: – Musicie dużo jeść, by dorosnąć jak najprędzej. Wtedy szpony tego ptaka nic wam nie zrobią.

Zorza wiedziała, że orły przywykły do ludzi. Z pokolenia na pokolenie wychowywały się w gnieździe, tuż przy grodzie i żyły obok, a w zasadzie tuż nad ludzkimi głowami. Co innego zwierzęta, te musiały się obawiać, bo nawet sarny i młode tarpany padały ofiarą wygłodniałych, fruujących drapieżników.

Zorza, utuliwszy dzieci, spojrzała w górę. Ptak jak niemal każdego razu robił kilka okrążeń nad grodem i rozlewiskami, po czym gwałtownie zmienił kierunek. Wzbił się jeszcze wyżej, ledwo był dostrzegalny i odleciał na wschód. W końcu zniknął z oczu. Kobieta nabrała wody do cebra i pomaszerowała z dziećmi do grodu. Zapomniała o ptaku.

Tymczasem orzeł, będąc wysoko, niemal w niebie, ogarniał swym wspaniałym wzrokiem olbrzymie połacie bezkresnej krainy. Bór i lasy. Łąki, pastwiska, rzeki i mokradła. Stada jeleni, dzików, watahy wilków. Spokojnie pasące się tury

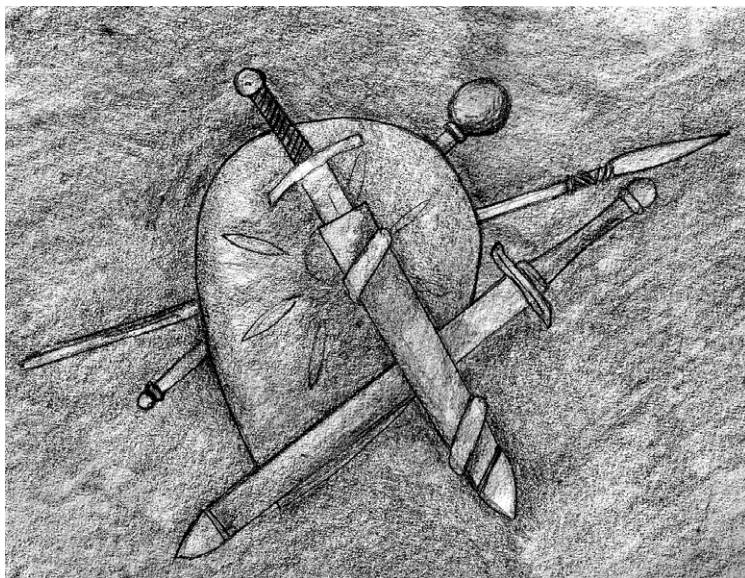


i zębry. Niemal cały świat miał pod skrzydłami. Każdego dnia obserwował z góry te wspaniałe miejsca, stada zwierząt i zmieniającą się wraz z porami roku, niezwykłą przyrodę. W końcu jednak jego uwagę skupiło coś odmiennego i niezwykłego. Nie przypominało mu obrazów wyuczonych i zakodowanych przez lata.

Wielka armia. Niezliczona liczba koni, wozów i ludzi ciągnęła się od dalekiego wschodu, jakby wychodziła z wnętrza wstającego słońca. Szła ku borom i lasom. Pozostawiona za nimi ciemna smuga tysięcy kopyt zwierząt i ludzkich stóp odcisniętych na ziemi pokazywała, skąd nadciągają.

Gdy słońce już zaszło, a świat stał się szary i ospały, orzeł wrócił do gniazda. Zanim zapadł w sen, krzyknął kilka razy przeraźliwie i głośno, jakby chciał ostrzec ludzi przed nadchodzącą, barbarzyńską nawałnicą, która miała zmienić ten świat już na zawsze.

Kolejny wieczór Miech spędzał w obecności swych pociech, dłubiąc w rogach jelenia. Poodcinał czubki, które mozolnie przebił na wylot, tak by miały otwór na założenie miedzianego pierścienia i haczyka, którym kolczyk mógł być przytwierdzony do ucha. Na kolczykach Miech nacinał znaki, na wszystkich jednakowe. Dzieciaki przez cały czas towarzyszyły ojcu i wpatrywali się w jego robotę. Zorza krzątała się po izbach i pod pozorem szykowania strawy, spoglądała na ręce swego mężczyzny. Ten jednak nie dawał po sobie poznać i nie zwracał na nią uwagi. Nacinał coś na kościach, a kiedy skończył, ukrył to, co stworzył w skórzanej sakiewce, ale nikt nie wiedział gdzie. Wiadomym było jedynie, że wychodził wieczorami poza gród. Widywano go pod wielkim dębem. Tam znikał, a kiedy wracał sakiewka była już ukryta. Zaciekawieni domownicy dopytywali, ale on stwierdził, że póki nie skończy roboty, nie zdradzi swojej tajemnicy.



## Rozdział II – Idzie wojna

**M**

ongolska armia nadciągała ze Wschodu. Tysiące wojowników uzbrojonych po zęby, żądnych krwi i łupów parło na Zachód. Żądza podbojów, mordów i niewolenie wolnych ludzi wiodła ich do kraju Rusów, a potem Lachów. Podbijali krainę za krainą. Palili grody, mordowali ludzi, przekupywali władców i zwyciężali bitwy. Armia Mongołów była nie do pokonania. Przed nią szedł strach i panika, za nią śmierć i niewola. Krew spływała po krainach, które stawić opór chciały. Padał gród po grodzie. Ludzie ginęli bądź w niewolę popadali. Nieliczni, którym szczęście sprzyjało, uciekali, gdzie mogli, by najazd przetrzymać, a potem świadczyć o tych okrucieństwach i przestrzegać nowe pokolenia. Mongolskie czambuły, niesione na karkach małych, zwrotnych koni parły naprzód. Przenikały stepy, zaszywały się w lasach. Uderzały zniecka na nieprzygotowanych do obrony i swoją bezwzględnością oraz okrucieństwem niszczyły wszystko, co napotkały na swej drodze. Mongolscy wojowie byli jak mrówki: liczni, żarłoczni i bardzo przebiegli.

Tego dnia z samego rana, nim słońce całym swym obwodem wyłoniło się zza lasów, para orłów poderwała się do lotu. Poszybowały gdzieś w przestworza, by zniknąć w bezkresie nieba. Tymczasem w domu Miecha głosy dzieci przeplatane nawoływaniem ich matki wypełniły izbę. Chłopcy, wygramoliwszy się z posłania, zaczęli biegać, wypełniając pomieszczenie swoim śmiechem. Matka szykowała jadło. W końcu zasiedli przy drewnianym stole z grubych dębowych bali i nie wybrzydając, opychali się tym, co matuś przygotowała. Kiedy wszyscy napełnili swe brzuchy strawą, Miech zasiadł przy płomieniu, który obudzony świeżym, suchym drewnem sosnowym, szybko nagrzał pomieszczenie. Przyjemne ciepło wypełniło izbę. Mężczyzna miecz swój spod łoża wyciągnął i dokładnie obejrzał, jakby wiedziony przecuciem, że niedługo może się przydać. Chciał sprawdzić, czy nadal jest w pogotowiu. Kilka razy nim wymachnął, obrócił ręką i odłożył, wzdychając. Potem przyszła kolej na łuk wiszący nad drzwiami. Zdjął go z uchwytu, nałożył cięciwę i kilka razy naciągnął, by zwolnić i rozluźnić cisową broń. Przejrzał strzały w kołczanie, po czym wrócił do zajęć z rodziną. Zorza napiekła smacznego mięsa w ziołach i oporządziwszy dzieci, zbliżyła się do mężczyzny. Umizgom nie było końca. Śmiejąc się i tuląc, przeoczyli, jak do domu wszedł Zasław, jeden z wojów i zarazem przyjaciel Miecha. Ubrany w skórzany płaszcz, przepasany rzemieniem, z głowy zrzucił kaptur i pozdrowił wszystkich. Na jego widok Miech się ożywił. Tamten rzekł:

– Witaj, przyjacielu, konie już gotowe. Orły już polują od samego rana, to i na nas pora.

Miech uśmiechnął się, wstał i odparł:

– Czekajcie jeszcze chwilę, załatwię sprawy z moją kochaną i moimi dziećmi, to do was dołączę.

Tamten przytaknął i wyszedł na dziedziniec, skąd dobiegało rżenie koni i odgłosy rozmów oraz śmiechu pośród myśliwych. Miech westchnął i szepnął do Zorzy:

– Pewnie się śmieją, że nie mogę się z tobą rozstać.

Ona odparła:

– Pewnie żaden z nich nie ma takiego kochania, to i się zazdrośni śmieją.

Oboje parsknęli śmiechem, po czym Miech przywołał dzieci. Te stanęły przed nim. On zaś, wyciągnąwszy z kieszeni lnianej koszuli dwa kościane wiśiorki, położył je na dębowym, wysuszonym liściu i szepnął:

– Mama kazała wam przebić uszy zaraz przy porodzie, dziwiłem się po co, szukałem w mej głowie powodu takiego zachowania. W końcu doszedłem do wniosku, że te dziurki w uszach są po to, byście w nich nosili takie oto kolczyki. Po jednym dla każdego.

Dzieci oglądały podarki z zachwytem. Zorza dotknęła każdego z osobna. Były niemal identyczne. Nie widziała ich wcześniej tak dokładnie, gdyż Miech ukrywał się z tym, co robił i nie chciał nikomu przedwcześnie pokazać swego dzieła. Teraz, widząc je, była nimi zachwycona i powiedziała:

– Śliczne, a co na nich jest wyryte?

Miech odparł z pełną powagą:

– Wyryłem na nich krzyżujące się drogi. Ludzkie drogi krzyżują się w różnych miejscach i w różnym czasie. Niekiedy przechodzimy obok siebie obojętni,



innym razem pomagamy sobie. Nieraz po tych spotkaniach pozostaje radość, innym razem lzy. Dlatego wyrulem dwie drogi i kroplę lzy.

Dzieci jeszcze nie bardzo rozumiały słowa ojca. Zorza westchnęła i w czasie, kiedy Miech szykował swój łuk i strzały, nadziała kolczyki na miedzianych haczykach na uszy chłopców. Oni przyglądali się sobie nawzajem. Dotykali ozdób. Starszy z nich rzekł do matki:

– Ojciec nas bardzo kocha, a my mu podziękujemy za tak śliczny podarek.

Wziął brata za rękę i podbiegli obaj do zaskoczonego Miecha, rzucili się na szyję i zaczęli go obściskować. Zorza nie była gorsza. Również obcałowywała go po twarzy. W końcu jakiś stukot do drzwi przerwał sielankę. Z zewnątrz odezwał się głos:

– No dalej, kochasiu, ruszamy, bo nam stada uciekną i z niczym wrócimy.

Miech delikatnie i zwinnie wyrwał się z uścisków i na odchodne rzekł:

– Będziemy tropić i polować wzdłuż rzeki. Tam pasły się stada jeleni, już na zimowych pastwiskach. Z rogu jednego z nich macie ozdoby. Dla ciebie Zorza zrobię ozdobę, jak wrócę. Nim wygaśnie ogień w palenisku, będę przy tobie. Więc czekajcie na mnie i bądźcie grzeczni. – Szepnął jeszcze do dzieci: – Słuchajcie matki.

I zniknął za drzwiami. W duchu uśmiechał się do siebie, bo dla Zorzy zrobił również kościany naszyjnik, ale ukrył go w dziupli dębu, z zamiarem obdarowania jej po powrocie. Ona widziała, jak chował zawiniątko, ale udała, że nic nie wie.

Tętent końskich kopyt i pokrzykiwanie myśliwych oddalało się w kierunku rzeki, po czym ucichło. Zorza zajęła się domostwem. Miała wiele do zrobienia. Szykowała właśnie ciepłe ubrania dla swych bliskich. Wyprawione skóry jelenie i bobrowe zszywała za pomocą zwierzęcych, niezwykle silnych ściągien. Zdawała sobie sprawę, że zanim spadną pierwsze śniegi, musi się uporać z robotą, by nie pomarзли w mroźne i śnieżne dni.

Na zewnątrz, w grodzie pozostali mężczyźni uszczelniali palisadę, pod którą w nocy próbowali podkopać się dzikie świnie. Inni przeganiali jeszcze stada owiec, koni i krów, po nadrzecznych łąkach, by zwierzęta nasyciły się resztkami traw i wybiegały przed zimą. Kiedy spadał śnieg, zwierzęta musiały pozostać w oborach i niewielkich wybiegach, bo o tej porze roku wilki i inne drapieżniki po pożywienie sięgały wszędzie. Nawet do ludzkich siedlisk. Ostatniej zimy zabiły kilka kóz i dwa konie.

Kiedy w grodzisku trwała codzienna krzątania, myśliwi dotarli do miejsca, gdzie rzeki łączyły się w jedną szerszą wodę. Wokół tego miejsca roztaczały się bagna i trawiaste ostępy. Od tego też miejsca zaczęli szukać śladów stada. Zsiedli z koni i dokładnie przeszukiwali teren z nadzieją na świeże tropy. Zapędzili się w swych poszukiwaniach i zbyt oddalili się od grodu, by wrócić tego samego dnia. Słońce, zanim zaszło, pokolorowało niebo w czerwone barwy. Jeden z myśliwych, widząc mieniące się w kolorze krwi, zachodzące słońce stwierdził:

– Złe idzie. Niebo już o tym wie!

Miechowi po plecach przeszły ciarki. Nie należał do strachliwych, ale znaki ostatnich dni wprawiły go w lekki niepokój. Przypomniawszy sobie stada czarnych wron.

Do wieczora nie udało się wytropić niezwykle płochych jeleni. Rozbili więc obóz w świerkowym zagajniku. Przytroczyli konie do zwalonych pni. Sami zaś po upolowaniu kilku szaraków rozpalili ognisko, zalegli na skórzanych derkach i tak spędzali czas na jedzeniu i opowieściach o udanych polowaniach. Miech miał wyrzuty. Obiecał Zorzy rychły powrót. Pozostała nadzieja, że rankiem dogonią wreszcie stado i upolują tyle zwierza, że nie zdołają go unieść ich konie.

W nocy pogoda się zmieniła. Zaczął wiać silny, zimny, wschodni wiatr. Nocne ptaki i zwierzęta ucichły. Las szumiał, łamane gałęzie spadały z drzew, a suche trzciny smagane wiatrem szeleściły, odganiając ciszę. W końcu ognisko przygasło, a ciemność zapanowała niepodzielnie. W tym zgiełku zdawało się, że nieopodal pędzi jakieś stado. Miech myślał nawet, że to tropione jelenie, które spłoszone pędziły na oślep. Jednak odgłosy, które zlewały się z wyjąłym, wiatrem zdawały się nieco cięższe, a ziemia drżała, jakby to ludzie gnali po niej na wierzchołkach. Myśliwi próbowali wypatrzyć coś w ciemnościach, ale zarośla i brak gwiazd na niebie ograniczały widoczność.

Zorza siedziała w izbie swego domu i wypatrywała na dziedzińcu tak oczekiwanych myśliwych. Oni jednak nie wracali. Pomyślała więc, że może zablądziła, a może zwierz był tuż, tuż i nie można było go upolować do zmroku. Było tak już nieraz. Dzieci spały smacznie i pewnie śniły o czymś przyjemnym, bo przez sen się uśmiechały.

Około północy wiatr się zerwał. Powietrze świstało i podrywało wysuszone liście. Zorza nie mogła zupełnie spać. Ogarnął ją dziwny niczym nieuzasadniony niepokój. Wyszła na chwilę przed dom. Tam przy bramie do grodu zobaczyła jakiegoś człowieka. On poznał ją i uniósł w jej kierunku rękę. Zbliżyła się do niego. Był to starszy człowiek o imieniu Ciech. Miał nietęgą, zatroskaną minę. Kiedy doszła do niego, krzyknął, a ledwo słyszalny w szumie wiatru głos dotarł do jej uszu:

– Zdawało mi się, że jacyś jeźdźcy kręcą się na zewnątrz!

Z chałup za grodem też wyszli ludzie, którym widać wiatr nie dawał spać. Ale poza wiatrem niczego nie dostrzegli.

– Mieście oczy szeroko otwarte – rzuciła do starego.

On pokiwał głową, a ona wróciła do domu, by ukryć się przed zimnem i wiatrem, nie zdając sobie sprawy z zagrożenia.

A niedaleko, ukryci w zaroślach, czaili się już jeźdźcy na małych konikach. Długo stali w milczeniu i obserwowali gród. Wytropiły ich psy, pobiegły w las, ale już nie wróciły. Strzały przeszły ich ciała i pozostały gdzieś pośród drzew. Wiatr stłumił wszelkie odgłosy i nikt nie usłyszał pisku konających zwierząt. Nikt nie spodziewał się najgorszego, że śmierć idzie w odwiedziny.

Do rana wiatr przestał wiać, a gdy mrok ustąpił, słońce powoli zaczęło przebijać się przez cienką warstwę chmur naniesionych nocą. Miech i towarzysze wydostali się spod skórzanych nakryć i jodłowych gałęzi. Osiodłali konie i ruszyli w poszukiwaniu stada jeleni. Gdy dotarli do piaszczystego wzniesienia, coś przykuło uwagę jednego z nich. Zeskoczył z konia, najpierw stał w miejscu i rozglądał się wokoło, potem zrobił kilka kroków, by w końcu ponownie dosiąść wierzchowca. Grupa jego towarzyszy była nieopodal i wpatrywała się w jego poczynania. On, poklepując konia, zlustrował teren, by w końcu zbliżyć się do Miecha i poddenerwowanym, przestraszonym głosem wykrzyknąć:

– Dziś w nocy ciągnęła tędy grupa jeźdźców. Gnali w kierunku rzeki. Było ich kilkunastu. Pozostawili dziwne ślady. Jakby koni, ale mniejszych niż nasze.

Miech obejrzał dokładnie pozostawione na ziemi znaki. Mruknął do towarzysza:

– To ich odgłosy słyszeliśmy w ciemnościach...

Było tam wiele odcisniętych w grząskim terenie, końskich kopyt, które wskazywały kierunek. Jeźdźcy poruszali się w stronę rzeki. Myśliwi postanowili przerwać polowanie i podążyć ich śladami. Gdy dotarli do brzegu, okazało się, że pojawiły się tam jeszcze ślady innych końskich kopyt. Po nich można było wnioskować, że dołączyli kolejni, którzy przybyli z zupełnie innego kierunku. Zasław, który był doświadczonym rycerzem i w wielu wyprawach brał udział, stwierdził:

– To nie myśliwi, jest ich zbyt wielu i zbyt prędko się poruszają. Dołączają do nich następni jakby jacyś zwiadowcy. Tam – wskazał ręką – przekroczyli rzekę i spotkali się z jeszcze jedną grupą.

Miech i jego ludzie podążyli za śladami i przekroczyli rzekę. Na przeciwnym brzegu ujrzeli jeszcze więcej śladów, które wskazały dalszy kierunek. Na zachód.

Oczy Miecha stały się wielkie, twarz zaczerwieniła, gorąco uderzyło do głowy. Wiedziony złym przeczuciem wykrzyknął:

– Oni idą na nasz gród!

Nie czekając ni chwili, natychmiast wszyscy pognali konie w tym samym kierunku. Liczba końskich śladów była zbyt wielka, by lekceważyć zagrożenie. Miechowi towarzysze pędzili co sił. Bez przerwy poganiali swe wierzchowce z nadzieją, że dotrą do grodziska na czas. Jeśli Zasław się nie mylił, to przed sobą mieli wojowników szukających krwi.

Gdy dotarli do dużego wzniesienia, pokrytego jedynie trawami, na horyzoncie niemal z każdej strony dostrzegli kłęby dymu. Ktoś krzyknął:

– Pałą wsie, na rany Chrystusa! To wojna, pałą grody!

Wszystko stało się jasne w jednej chwili. Miech ścisnął kolanami swego wierzchowca i krzyknął:

– Jak Bóg miły, to wojna. Do grodu!

Konie pokryte białą pianą, zlane potem gnały dalej, jeźdźcy zaś poganiali je bez przerwy, by wykrzesać ze swych rumaków resztki sił, mając nadzieję, że zdążą przed najgorszym.

Zbliżało się południe. Do domu Zorzy weszła ciotka gospodyni i nim tamta otworzyła usta, powiedziała zatroskana:

– Dziwne rzeczy się dzieją, psy zniknęły gdzieś w borze i po nocy nie wróciły.

Zorza odparła:

– Może dzikiego zwierza wytropiły i w las za nim pobiegły?

Rozmowę przerwały odgłosy z zewnątrz. W grodzie podniósł się wrzask. Ktoś krzychał, że się pali. Ludzie porzucili swe zajęcia i wybiegli przed domostwa. Wokół wznosiły się słupy dymu. Bezwietrzna pogoda sprawiała, że kłęby czarnej sadzy szły prosto do nieba. Zorza pozostawiła w izbie dzieci i wybiegła tak jak inni. Widząc dymy, uzmysłowiła sobie, że wzbijają się one z miejsc, gdzie znajdowały się wsie. Zdała sobie sprawę, że ktoś je pali. Nim minęło pierwsze paralizujące wrażenie, od strony boru ku grodzisku gnał jakiś jeździec. Po chwili wpadł na dziedziniec i zeskoczył z konia. Zwierzę białe od piany i potu parskalo nerwowo. W jego zadzie tkwiły dwie strzały. Człowiek padł na kolana, złapał kilka oddechów, po czym wypowiedział straszne słowa:

– Mongołowie, okrutny wróg nadciągnął! Pali i morduje! Uciekajcie! Uciekajcie!

Ciech dopadł do umęczonego rycerza:

– Co gadasz, człowieku?!

Tamten z przerażeniem w oczach krzychał:

– Grody padają, wsie płoną! Wojsko w rozsypce kryje się po lasach, nijakiej pomocy liczyć nie można! Uciekajcie komu życie miłe!

Wtem rozmowę przerwały krzyki zza palisady. Od strony rzeki ku grodowi gnała grupa jeźdźców odzianych w futra, wymachujących włóczniami. Na małych konikach pędzili, wykrzykując złowieszczo. Nikt nie miał wątpliwości – to mongolscy wojownicy. Po chwili pewnie na komendę, z boru ruszyła druga grupa i nim się ludzie zorientowali, płonęły już domy pod grodem. Jeźdźcy wpadli między chałupy i każdego, kto z płomieni wyskoczył, ponownie wpychali do środka bądź przesywali włócznią czy strzałą. Powstało wielkie zamieszanie. Krzyk kobiet i płacz dzieci zlewały się z wojennymi okrzykami najeźdźców. Ludzie chaotycznie biegali we wszystkich kierunkach, szukając jakiegoś schronienia. Ktoś próbował skryć się na drzewie, inny wpadł do jakiejś nory w ziemi. Zorza zrozumiała śmiertelne niebezpieczeństwo. Natychmiast pobiegła w kierunku domu. Wpadła do izby, nerwowo szukała dzieci. Gdy ich nie mogła znaleźć, krzyknęła:

– Chwastko i Laszko, gdzie jesteście?! Rany, gdzie są moje dzieci?

Chłopcy byli przy zagrodzie, z królikami. Przerażliwy krzyk matki sparaliżował ich tak bardzo, że nie mieli siły się odezwać. Stali tam nieruchomo, czekając, co będzie dalej. Ona po przeszukaniu domu, pobiegła tam, gdzie spędzali najwięcej czasu. Znalazła ich, chwyciła na ręce, krzyknęła:

– Musimy uciekać!

Wybiegła z dziećmi na dziedziniec. Chałupy poza palisadą już całe skąpane były w ogniu, płomienie rosły do nieba. Wrota do grodu zamknięto, jednak na nic się to zdało. Kilku wojowników zarzuciło liny na słupy ogrodzenia i poganiając swe konie, napięło je. Potem na dany znak szarpnęli i ogrodzenie ustąpiło, tworząc wylom, przez który wpadała do środka coraz liczniejsza grupa najeźdźców. Wyrzykiwali coś w nieznanym języku. Wyglądali przeraźliwie: twarze pełne nienawiści, oczy wściekle, szukające obrońców. Z mieczami i włóczniami w dłoniach parli naprzód. Ciech już nie żył. Ugodzony strzałą w piersi, leżał przy wrotach, inni stawiali opór, ale walka trwała krótko. Zwinni Mongołowie osaczali poszczególne obrońców i mając przewagę liczebną, pozbawiali życia w okrutny sposób. Kto zginął przeszyty strzałą, bądź mieczem, miał szczęście. Ci, których żywcem pojmano, duszono linami, rozrywano końmi, bądź palono, wpychając do płonących budynków. Zorza z innymi kobietami i dziećmi próbowały wydostać się z grodu i uciec do boru. Jedna z nich, wskazując ręką, wrzasnęła:

– Za tamtą chałupą jest drabina!

Pobiegły, odnalazły starą, powiazaną linami drabinę. Poderwały ją i postawiły pod palisadę. Pod osłoną dymu, uciekinierzy wspinali się na szczyt ogrodzenia, a stamtąd na przywiązanej do drzew linie spuszczały się na dół, z drugiej strony ogrodzenia. Dzieci już były po drugiej stronie, gdy kobieta stojąca przed Zorzą jęknęła z bólu i spadła na ziemię. W jej plecach tkwiła strzała. Zorza rozejrzała się nerwowo i dostrzegła kilku wojowników pędzących ku niej. Na drodze stanął im któryś z chłopów, ale nim się ruszył, już go dopadli, przewrócili na ziemię i dociskając drewnianymi widłami, pozbawili możliwości obrony, potem jeden z nich poderżnął mu gardło. Krew wytrysnęła do góry, naznaczając oprawcę. Ten otarł nóż o ubranie i ruszył dalej zabijać. Zorza wykorzystwała tę chwilę i błyskawicznie zeskoczyła na drugą stronę i porywając płaczące dziecko, przykucnęła na moment. Szybko oceniła zagrożenie i ciągnąc za sobą pociechy, pobiegła w kierunku drzew. Ale tam już na nich czekali złoczyńcy. Inna grupa najeźdźców, która nie brała bezpośredniego udziału w ataku, stała na linii drzew, wpatrując się w pobojuwisko. Pewnie pośród nich był wódz Mongołów, ponieważ wydawał polecenia swym wojom. Oni czynili, co kazał.

Grad strzał uderzył w biegnących wprost w szpony mongolskich oprawców. Ludzie padali na ziemię w bólu bądź bez ducha, ci, którzy byli ranni, zostali dobici ostrymi włóczniami. Gród cały już płonął. Pojmane zwierzęta zagnano nad rzekę. Zorza, widząc beznadziejną sytuację, zawróciła z dziećmi do grodu przez wyrwę w murze powstałą podczas ataku. Wpadła między domostwa. Płomienie wzbijały się ku niebu, to tańczyły na boki poruszane wiatrem. Co chwila dotykały jej ciała, kęsały gorącym, pozostawiając ślady na skórze. Niczego nie czuła. Dzieci nie miały już siły płakać. Łkały tylko resztkami sił, a oczy pełne łez nie pozwalały patrzeć na zgrozę. Kobieta gorączkowo szukała schronienia dla pociech. Przykucnęła, chwilę pomyślała, po czym dopadła do starej wyschniętej studni.



Od dawna służyła ona jako spichlerz na mięso i inne zapasy. Odwaliła kamień, odsunęła drewniane dębowe bale. Chwyciła Laszka za ramiona. Spojrzała mu w oczy i całując w czoło, wyszepnęła:

– Pamiętaj, siedź tu, dopóki po ciebie nie wrócę! Nie ruszaj się, czekaj. Jak będziesz głodny, to jedz, co ci podejdzie! Nie wychodź pod żadnym pozorem, rozumiesz, synku?

Nie czekając na odpowiedź, wsadziła płaczące dziecko do dziury. Chciała to samo zrobić z drugim synem, ale Chwastko raptownie oderwany przez kogoś od matki, upadł na ziemię, a w jego oczach ujrzano przerażenie. Krzyczał coś niezrozumiałego. Obejrzała się za siebie. Za plecami dostrzegła wojownika, który wyrwał jej z rąk chłopca, odrzucił na bok i w szaleńczym śmiertelnym tańcu wymachiwał mieczem. Nie zdążyła się nawet przeżegnać, zasłoniła jedynie oczy. Świst stali przeciął powietrze. Ostrze miecza przemknęło tuż przy twarzy kobiety. Ona się lekko odchyliła, dzięki czemu uniknęła cięcia. Upadła na ziemię, tracąc równowagę, zasłoniła ręką twarz przed kolejnym ciosem. Ale drugiego już nie było, wojownik jęknął i padł na kolana, odchylił głowę do tyłu, po czym zwałił się na ziemię. A upadając, odsłonił, to, co było za nim. Za jego plecami stał Miech z łukiem i kilkoma strzałami w dłoni. Dobiegł do Zorzy, poderwał ją z ziemi. Kobieta jeszcze się nie otrząsnęła. Spojrzała mu w oczy. Teraz rozumiała: przybył w porę i ocalił jej życie. Z oczu Miecha biło przerażenie i strach. Przytuł ukochaną, przygarnął do siebie Chwastka. Ona wydusiła z gardła kilka słów:

– Przybyłeś w samą porę. Gdyby nie ty...!

Nie było czasu na tłumaczenie. Chwycił ją za rękę. Chciał zabrać chłopców, ale było już za późno. Ni stąd, ni zowąd wynurzyli się z dymu kolejni Mongołowie. Było ich zbyt wielu, by liczyć na zwycięstwo. Miech szepnęła do Zorzy:

– Pamiętaj, że zawsze cię kochałem, spróbuj ukryć...

Nie zdołał jednak dokończyć, bo już do niego ruszyli. Pierwszego, który się zbliżył, uderzył z całej siły łukiem, po czym porzucił go, bo następni byli zbyt blisko. Chwycił miecz powalonego wroga i zasłonił ciałem żonę. Ona nie chciała go opuścić, była gotowa zginąć z nim tu, w tym miejscu. Mongołowie otoczyli broniących się. Zorza próbowała podnieść starszego syna, wtem coś spadło na nią i zacisnęło w pasie. Szarpnęło w bok i nim się zorientowała, leżała już na ziemi u nóg jakiegoś mordercy, oplecioną liną. Ten uderzył ją pięścią w głowę. Szum, potem kołysanie świata zakłóciły jej myślenie. Próbowała się podnieść, ale Mongoł dociskał ją do ziemi. Widziała jedynie obrazy. Dostrzegła, jak inny wojownik tnie mieczem jej syna. Wydarła z gardła przeraźliwy krzyk:

– Chwastko!

Widziała, jak dzieciak upadł na ziemię z zakrwawioną buzią. Nie ruszał się. Inny z najeźdźców dobiegł do studni i chciał wyciągnąć z niej Laszka. Dziecko próbowało zaszyć się w najgłębszy jej kąt, by nie dać się schwycić, ale silna ręka Mongoła złapała go za włosy i przyciągnęła ku wyjściu. Potem barbarzyńca chwycił go za uszy. Laszko szarpał się i próbował wyzwolić z uścisku. Korzystając

z możliwości, ugryzł napastnika w rękę. Mongoł zwolnił uścisk i wtedy dziecko wpadło z powrotem do dziury. W rękę barbarzyńcy pozostało urwane i zakrwawione ucho chłopca. Roześmiał się i coś krzyknął do zbliżających się, swoich towarzyszy. W tym czasie czarny dym wzmógł się i jeszcze bardziej ograniczył widoczność. Mongoł wydał swemu wojowi jakieś polecenia, by zniknąć pośród płomieni. Ten drugi, ponownie zanurzył się w studni, by dopaść malca. Zorza leżała na ziemi, powoli wracała do świata żywych, zaczęły docierać do niej dźwięki, by w końcu przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Chwyciła grot jakiejś zabłąkanej strzały, który leżał na ziemi pod jej nogami. Pomyślała, że pewnie Bóg go podrzucił. Poderwała się na nogi i doskoczyła do jeźdźca, który ją więził, by z całej siły pociągnąć za linę, a ta wypadła z jego rąk. Kiedy się zorientował i pochylił, by linę chwycić ponownie, kobieta błyskawicznie wbiła grot w jego oko. Krew zalała mu twarz, koń się spłoszył i odskoczył w bok, zwalając jeźdźca na ziemię. Nie widziała, co z nim się stało, jęczał przeraźliwie i miotał się na ziemi. Ona zaś na czworaka podążyła w stronę studni. Złapała jakiś kamień, leżący na drodze. Ten, który chciał dopaść malca, zapomniał na moment o swym bezpieczeństwie. Kłęby dymu nadal ograniczały widoczność. Zorza z oczyma pełnymi łez, szczypiącymi od dymu desperacko parla naprzód i nie tracąc orientacji, wyrosła przed studnią. A widząc przed sobą pochylonego Mongoła, nie wahając się, zaczęła walić kamieniem w jego głowę. On chciał się poderwać, ale był pochylony nad dziurą i utracił na chwilę równowagę. Nie pozwoliła mu jej odzyskać. Waliła go w łeb tak mocno, że po kolejnym ciosie twarz człowieka zalała się krwią. Nic nie widział na oczy, które próbował przecierać. Ona tłukła go tak długo, aż przestał się ruszać. W końcu porzuciła zakrwawiony kamień. Zza pasa wyrwała mu nóż i z całą siłą wepchnęła w brzuch. Mongoł osunął się, przykrywając swym ciałem włącz do studni i tak zastygł. Kobieta, ciężko dysząc, rozejrzała się, wokół. W przeblaskach świadomości zdecydowała pozostawić ranne dziecko zasłonięte trupem Mongoła, odnaleźć i pomóc Miechowi. Jednocześnie szukała wzrokiem drugiego syna. Gdy dym nieco się rozrzedził, dostrzegła go. Leżał na dziedzińcu, nie dając oznak życia. Zaczęła krzyczeć:

– Nie, nie! Moje dziecko!

W oddali, przez kłęby dymu przebijały się jakieś postaci. Ruszyła w ich kierunku. Poznała po chwili wojów swego męża. Pozostało ich trzech. Miech pośród nich. Z mieczami w dłoniach stanęli plecami do siebie gotowi odeprzeć atak. Wokół pojawiało się coraz więcej wrogów. Dostawali do broniących się, ale tamci dzielnie stawiali czoła, raniąc nieustannie jakiegoś intruza. W końcu Mongołowie, ponosząc zbyt duże straty, wykorzystali swe łuki i kilkanaście strzał przeszło piersi dzielnych obrońców. Miech, upadając na ziemię, spojrział w kierunku Zorzy. Była ostatnim obrazem, jaki widział na tym świecie. Ona, widząc śmierć ukochanego, rzuciła się w kierunku morderców z przeraźliwym okrzykiem na ustach. Krzykiem rozpacz, gniewu i nienawiści chciała pozabijać wszystkich.

Wtem jakiś przedmiot uderzył ją w głowę, po czym czyjeś ręce wrzuciły ją na konia jakiegoś barbarzyńcy, który pognał z nią w kierunku zgrai swoich towarzyszy. Szarpała się i krzyczała, ale uścisk był silny i w żaden sposób wydostać się nie mogła. Potem zrzuciono ją z konia na ziemię i nic już nie pamiętała. Mordercy dopadli do niej, założyli liny na nogi i ręce i podali je konnym. Pewnie chcieli dziewczynę rozerwać na strzępy. Zjawił się jednak ich wódz, krzyknął coś niezrozumiałego. Natychmiast zaniechali swych zamiarów. Podszedł i przyjrzał się twarzy, potem zdarł jej sukienkę i obejrzał ciało. W końcu nakazał swoim, by ją do innych pojmanych zawleczono. Od tej chwili miała być jego łupem wojennym.



Spętana linami, pozbawiona najbliższych, w zamglonych, przedzielonych utratą świadomości obrazach, widziała pobojuwisko. Ciała poległych, płomień tańczący na gruzach jej domu. Krzyki zniewalanych kobiet i dzieci. I ostatni obraz. Ciało męża i syna, zastygłe w bezruchu, pomalowane krwią. Obraz, który zabierze ze sobą i nie zapomni go nigdy. W końcu straciła przytomność.